

P.R. her
U110CBP 23472

Jednodniówka



wydana przez Redakcję
„Młodzieńczego Lotu”
z okazji poświęcenia
gmachu „Osiedla”
w Sokolnikach



14-X-1934

Organizatorom „Osiedla“
w podziękę za poniesione trudy
poświęcamy.



410321

/95

PR

107

371.8708



zadoby mag. JU/304/95

Przemówienie,

wygłoszone przez przewodniczącą Gminy
na uroczystości poświęcenia Osiedla.

*„Język kłamię głosowi, a głos
myślom kłamię” —*

Dzień dzisiejszy, to jeden z tych najcudniejszych dni, kiedy radość i duma rozpiera serca, kiedy łzy gwałtem cisną się do oczu i głos z trudem wydobywa się z krtani. Dzień dzisiejszy, to jeden z tych dni, kiedy najpiękniejsze słowa nie są w stanie odzwierciedlić uczuć i myśli, nie są w stanie oddać całej głębi radosnego wzruszenia.

— Mamy Osiedle! — Później wszystkie te, które dopiero zacząć chodzić do naszej szkoły, będą patrzyły na ten dom już tylko jako na rzecz dokonaną, jako na miejsce, w którym najmilej spędza się czas, w którym żyje się w gromadzie, żyje się radośnie, swobodnie, szczęśliwie...

Ale my, wszystkie obecne uczennice naszego gimnazjum, patrzymy na ten dom inaczej. Dla nas te kochane mury są symbolem; symbolem potęgi woli ludzkiej, symbolem potęgi silnej wiary w dobro po-czynów, symbolem potęgi zapału i entuzjazmu.

...Pamiętamy, jak kilka lat temu pierwszy raz usłyszaliśmy o projekcie zakupu dla gimnazjum działki leśnej i wybudowania osiedla. Nie wyobrażałyśmy sobie wtedy, jak takie osiedle będzie wyglądać, nie zdawałyśmy sobie sprawy z jego walorów. I właściwie... nie wierzyłyśmy, że może ono kiedykolwiek powstać. Potem ucichły jakoś wszelkie wieści o tym projekcie, a my, poprostu... zapomniałyśmy.

I oto, pewnego dnia dowiadujemy się, że jedziemy na wycieczkę do naszego lasu. Pamiętam, że wszystkie bardzo zdziwiłyśmy się i pierwsze uczucie, jakie nas ogarnęło — to była ciekawość. Jak wygląda nasz las?!... Później wieści o osiedlu były coraz częstsze, coraz częściej jeździliśmy do naszego lasu i coraz częściej słyszałyśmy, że w tym lesie stanie nasze Osiedle.

...Ale my ciągle i ciągle nie wierzyłyśmy. Potem już nawet nie miałyśmy ochoty jeździć do tego lasu — mówiłyśmy, że tramwaj kosztuje. Na wszystkie wieści o szybkich przygotowaniach do budowy odpowiadałyśmy obojętnym wzruszeniem ramion i stereotypowym: „chyba nasze wnuczki to osiedle zobaczą...” Aż nagle... stało się! Jedziemy do Sokolnik na poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę osiedla. I dopiero wtedy, kiedy zobaczyłyśmy początek murów,

kiedy każda z nas sama z kielnią w ręce przyłożyła jedną cegłę do fundamentu — wtedy dopiero... uwierzyłyśmy!... Wtedy dopiero łzy wzruszenia cisnęły się do oczu, łzy radości. Od tamtego dnia do dnia dzisiejszego — to już bardzo mały okres czasu. W oczach rosły te mury, codzień wyżej i wyżej...

A my rozgorączkowane śledziłyśmy ich wzrost, bo już wtedy wierzyłyśmy, że te mury — to kochane, to drogie, bo nasze... nasze własne.

A potem przyszedł pierwszy tygodniowy pobyt w osiedlu. Było nam tu dobrze, byliśmy bardzo szczęśliwe. Zrozumiałyśmy, czym jest dla nas osiedle. Zrozumiałyśmy, co może gorące pragnienie i silna wola człowieka, co może zapał i entuzjazm. Bo wiedziałyśmy, że tylko dzięki tym czynnikom nie nasze wnuczki, ale my same mieszkamy w naszym domu.

I dziś jesteśmy tak bardzo szczęśliwe już nie tylko dlatego, że widzimy przed sobą poświęcony gmach, w którym nam będzie tak bardzo dobrze, ale i dlatego, że danem nam było być świadkami dokonywanego się czynu, że my, jako naoczni świadkowie możemy dziś powiedzieć, że te mury powstały nie za cenę pieniędzy, ale za cenę miłości, poświęcenia i wytrwałej woli.

I jesteśmy tak bardzo szczęśliwe, bo danem nam jest dzisiaj za tę najcudniejszą chwilę podziękować serdecznie tym, którym tę chwilę zawdzięczamy, którym zawdzięczamy nasze osiedle:

— Kochanej Pani Dyrektorce i Kołu Rodzicielskiemu.

Stępieniówna Stefanja (Vlla).

Dzieci z Niemiec w naszym Osiedlu.

Z szlachetnej inicjatywy p. Dyrektorki zostały zaproszone do naszego Osiedla dzieci polskie z Niemiec, które miały spędzić z nami wakacje.

Wiedziałyśmy już o tem na kilka dni przed wyjazdem na kolonje i każda ciekawa była, jak to tam z niemi będzie.

Przyjechały wreszcie. Pamiętam, że zrobiły na nas okropnie przykre wrażenie, gdy wyszły z wagonów przeziębłe, blade, niewyspane, z różowemi na piersiach kartkami, na których widniały ich nazwiska.

Były to dziewczynki, jak dowiedziałyśmy się potem, w wieku od 10 do 14 lat, z kilku wsi w Prusach Wschodnich. Niektóre z nich spędzały już wakacje w Polsce, ale większość przyjechała do Ojczyzny poraz pierwszy.

Osiedle zrobiło na nich wielkie wrażenie. Z podziwem oglądały nasze łazienki i prysznice, jakich nigdy nie widziały.

Po wspólnem śniadaniu zajęłyśmy się rozpakowaniem ich rzeczy i rozłokowaniem ich w naszych sypialniach. Każda z dziewcząt starszych dostała pod swoją opiekę trzy dziewczynki z Prus. To wspólne mieszkanie w jednym pokoju przyczyniło się w wielkiej mierze do wytworzenia współzycia.

Wogóle było z tem współzyciem ciężko, szczególnie z młodszymi koleżankami. Nie podobało się naszym „małym“, że one nieładnie jedzą, że nie mają nocnych koszul, że nie myją zębów, nie umieją się zachowywać i t. d. Próbowaliśmy im tłumaczyć, że przecież, gdyby one same nie były wychowywane w domu i szkole, to byłyby takie same, albo i gorsze, ale to niezawsze odnosiło skutek.

Stopniowo jednak zżyłyśmy się coraz bardziej. One stawały się swobodniejsze, ufniejsze, my przyzwyczaiłyśmy się do ich braków i starałyśmy się oduczyć je pewnych brzydkich przyzwyczajzeń. W pracy tej pomagała nam bardzo p. Wychowawczyni, która potrafiła je zawsze zrozumieć. Powoli zaczynały mówić coraz lepiej po polsku, przyzwyczaiły się do estetycznego jedzenia, do mycia zębów i nóg (bo pierwszego dnia, kiedy pytałyśmy dlaczego nóg nie myją, odpowiedziały, że wczoraj myły doma).

Na spacerach uczyły się polskich piosenek i wierszyków; dowiadywały się o Polsce, jej bohaterach, poetach, pisarzach; dowiadywały się o Łodzi, Warszawie i innych miastach — same opowiadały o tych miejscowościach, w których były w ubiegłych latach.

Na świetlicy czytały opowiadania z „Płomyka“, pisały wypracowania, by nabrać wprawy we władaniu językiem polskim. Jedna z dziewczynek, która chodziła do niemieckiej szkoły i bardzo słabo mówiła po polsku, nauczyła się u nas dość dobrze pisać i mówić.

Tak minęły cztery tygodnie. Ostatniego dnia, w wielkiej tajemnicy przed nami, urządziły przy pomocy p. Wychowawczyni, szereg deklamacyj, tańców i scenek z „Płomyka“. Z dumą popisywały się przed nami swojemi produkcjami i szczęśliwe były, że one nam też przyjemność zrobiły.

Ponieważ bardzo pragnęły zwiedzić Warszawę, p. Dyrektorka z jedną ze starszych koleżanek pojechała z nimi do stolicy.

Pożegnanie było już zupełnie inne, niż przywitanie. Wszystkie były bardzo wzruszone, niektóre płakały, jedna nawet chciała pozostać w Polsce (ma w domu macochę, Niemkę).

Stolicą były zachwycone, jak nam później opowiadały p. Dyrektorka i koleżanka, która z nimi pojechała.

Wszędzie bardzo mile wspominały Sokolniki. Redaktorze jednego z pism warszawskich powierzyły wielką tajemnicę, że one tam, w Sokolnikach kąpały się pod prysznicami.

— — —

Już odjechały. Już dawno są u siebie w domu, w Niemczech, ale wspomnienie Osiedla zostanie dla nich czemś bardzo miłym i radosnym. A nasze Osiedle to dla nich symbol Polski, symbol Ojczyzny.

Kolonistki (Vllla).

Ósma w „Osiedlu“.

Ósma klasa, jako że najstarsza, naj... naj... i wogóle, pierwsza pojechała w tym roku do „Osiedla“. Niektóre były już w „Osiedlu“ w zimie, niektóre były i dwa razy (kolonistki — szczęściarki) ale większość przyjechała pierwszy raz.

Byłyśmy ciekawe tego życia wspólnego. W różnych klasach wyobrażałyśmy je sobie różnie.

Pamiętam. Byłam w drugiej klasie. (Rozczytywałam się w powieściach Czarskiej, w „Pamiętnikach pensjonarki“ i „Zosiach Wisowskich“) i wtedy bodaj pierwszy raz usłyszałam o „Osiedlu“. Jak wtedy chciałam, żeby „Osiedle“ prędko wybudowano, żebym mieszkała z Helą, Marylką w jednym pokoju, jak Zosia Wisowska.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Miejsce Zosi Wisowskiej w mojej pamięci zajął jakiś wzór trygonometryczny.

„Osiedle“ stało się prawdą. I do tego „Osiedla“ przyjechałyśmy teraz. Hurra! Zaczęło się od obejrzenia gmachu... Tu się ji... tu się śpi... tu...

Potem pouczono nas o regulaminie. Oj, na ten regulamin bardzo kręciły noskami niektóre dziewczęta.

— Co?... O wpół do siódmej wstawać?!... O, mój Boże, kiedy ja się wyśpię?!

— Za dużo spacerów! Kiedy my się uczyć będziemy? Przecież matura! Nie żarty!

Jednak i śpioszek wstał na drugi dzień o wpół do siódmej zupełnie wyspany, i Pilność chodząca zdażyła odrobić wszystkie lekcje i pójść na spacer, jeszcze w „halmę“ pograć. Dziwiła się potem jedna z druga, skąd tyle wolnego czasu na tem „Osiedlu“. Bo przecież i lekcje odrobiła, i książkę przeczytała, posłuchała radja, ba! nawet tańczyła i jeszcze jej zostało czasu na pogonienie się z Horacym, czy Owidjuszem. (Niech nam bogowie starożytni przebaczą, niech Jowisz gromowładny wstrzyma swój piorun. To z wielkiej miłości do łaciny nazwałyśmy tak dwa małe pieski, bogu ducha winne, mówiąc nawiasem).

Skąd tyle czasu?... Wszystko to zrobił regulamin. Gdyby tak każda robiła, coby chciała i kiedyby chciała, zobaczyłybyśmy dopiero bałaganik.

A tak widzimy, co może zrobić rozplanowanie sobie dnia.

Zrozumienie tego jest jedną z korzyści, jakie dało nam „Osiedle”.

Niemalą tragedją było, jak się zdawało na początku, rozdzielenie najlepszych przyjaciółek do różnych sypialń.

Choć to wstyd pisać, ale lubię być szczera, nie obeszło się bez łez. Wylewano łzy krokodylowe dlatego, „że ona tu, a ja tam”. (Ja się śmieję, bo przez pomyłkę byłam w jednej sypialni umieszczona z jedną z moich najbliższych). Ale to było pierwszego dnia. Potem przekonała się ta i owa, że nie tylko „tamta” umie mówić na te tematy, co i ona, że nie tylko „tamta” jest wesoła i miła, ale, że są inne, z którymi chodziła przez osiem lat do szkoły, a nie znała ich wcale, nie są wcale gorsze od „tamtej”.

Umiejętność życia się i umiejętność zastosowania się w potrzebie do tego nawet, co jest mniej miłe, oto druga korzyść, jaką dało nam „Osiedle”. Nie są to jedyne korzyści, które wywiozłyśmy z „Osiedla”. Może tak odrazu trudno jest wymienić wszystkie. My czujemy zewnętrznie, że ona są, że jest ich wiele więcej, niż nam się zdaje. I kiedyś, gdy potrafimy z uśmiechem zastosować się do ogółu, gdy nie będzie nam trudno połączyć przyjemne z pożytecznym, gdy z radością będziemy wspominać szkołę, która nam dała nie tylko wiedzę, lecz przygotowała nas do życia, to pomyślimy, że w dużej mierze przyczyniło się do tego „Osiedle”.

Nowakowska Halina (VIIIb).

Jedna z chwil.

Tego dnia niebo poraz pierwszy spojrzało na odchodzące lato oczyma, zamglonemi smutkiem i nie powstrzymało łez żalu. Spływały więc na ziemię łzy ciche, nieśmiałe, zatrzymując się na trawach, krzakach i między igielkami sosen. Las jest piękny, gdy osrebrzą go kropelki wody, nastrojony w chwili przedwieczornej i bliski sercu, gdy nim ciśsza zawładnie.

I taki właśnie był las sokolnicki podczas tego pamiętnego spaceru.

Szłyśmy wolno, przeważnie po dwie, rozmawiając ciszej niż zwykle, jakby każda z nas chciała uszanować smutek przyrody.

Jedna z koleżanek wzięła mnie pod rękę. Jej błada zwykle twarz wydawała się jeszcze bledsza w otoczeniu zieleni. Szare oczy patrzyły ze smutnym zamyśleniem przed siebie. Długo nie mówiła nic, wreszcie zaczęła tonem zwierzeń:

— Tak tutaj dobrze, tak zacisznie... Wiesz, nie mogę uwierzyć, że jest świat inny...

— W jakim znaczeniu „inny“?

— W zwykłym: szary, smutny dom na przedmieściu, mieszkanie z oknami na małe podwórko, kłopoty materialne... I co najgorsze: jednostajność. Nudna, bezbarwna codzienność życia bez nadziei jakiegokolwiek zmiany. Stopniowo następujący kryzys wyobraźni, zamieranie sił twórczych i tylko szarość, szarość, szarość...

— Przecież życie można sobie zawsze jakoś urozmaicić.

— Ha, Ha!...

Jest czasem taki śmiech, na który nie można odpowiedzieć nic. Człowiek czuje się zbity niewypowiedzianym argumentem i onieśmieszony — milczy. Tak więc i ja milczałam.

Wyszliśmy na koniec lasu. Przed nami rozciągał się dość duży zagajnik o liljowym podszyciu wrzosów. Na prawo białały brzozy.

Właśnie zaczęło znów padać. Dziewczynki wracały w stronę Osiedla.

— Nie chodźmy jeszcze. Popatrz tylko, jak tu cudnie. Mój Boże... Ty wiesz, ja dwa lata nie widziałam lasu!...

A deszcz padał drobny i miły i srebrzył się na trawach, krzakach i między igiełkami sosen: sokolnicki las uśmiechał się przez łzy...

Może to ze szczęścia, że dla niejednej duszy dziewczęcej jest symbolem piękna ziemi całej?...

*Lutka Górską
(kl. VIII b.)*

Z nastrojów leśnych.

Ciche południe wczesnej jesieni. Ukośne promienie słońca kładą się łagodnym złotem na brunatne pnie i bujne podszycie o spokojnym, subtelnym odcieniu zieloności. W górze, między wysokie korony sosen wdzierają się skrawki błękitu, czystego, jak za pierwszych dni maja, wokoło puą się wzwyż dość rzadko rozstawione drzewa. W dole mech i bujnostna paproć, wśród której brunatniej czasem obalony przez wiatr, czy burzę, a może przez siekiere ludzką pień. Oto jeden — tuż obok mych nóg. Miękką paproć okala go z obu stron pieczolowicie, jak w ostatniej pieśń przed zaśnięciem. Na jego chropowatym grzbiecie wystawają małe odgałęzienia, okryte listeczkami o wzruszająco młodej zieleni. Tam, gdzie pień rozchodzi się w trzy duże konary, z których gałęzie już odcięto, tkwią półkoliste szczątki jakiegoś osieroconego ptasiego gniazda. Od tego to miejsca rozchodzą się owe białawe nici, łączące to umarłe z tyłu śladami życia drzewo z jego braćmi i siostrami leśnymi, jak żywy symbol ich wiecznego wspólnego istnienia.

Panuje zupełna cisza, majestatyczna cisza nadchodzącego snu. Po całej powierzchni lasu, na ziemi, w międzypiennej przestrzeni, wysoko, ponad wierzchołkami gałęzi i igieł rozlewa się pełen pogody

spokój. Lato odeszło z uśmiechem na ustach, a uśmiech ten, zda się, błąkać jeszcze niewygasły po milczącym lesie i nieść ową nieuchwytną słodycz, którą przesiąknięte jest każde źdźbło mchu, każdy listek paproci, każda igielka i szyszka.

Cisza leśna ogarnia i mnie, napęnia niewysłowionym spokojem. Stąkam po mchach i paproci wolno, prawie ostrożnie, jakbym się bała głośniejszym krokiem spłoszyć łagodną ciszę lasu.

Nagle las się przerywa i znajduję się na niezbyt szerokiej drodze. Za nią — znowu ciągną się drzewa. Idę środkiem tej międzylesnej ulicy, drzewa wznoszą się po mojej prawej i lewej stronie. Stoją nieruchomo w bladym, jesiennym słońcu, zdając się spokojnie czekać swego przeznaczenia. Żaden głos nie przerywa ich dumania, żaden przykry dźwięk nie mąci im boskiego spokoju.

Jak tu błogo! Chciałoby się tutaj dłużej zostać i oddychać tą błogosławioną ciszą, która napęnia serce taką słodyczą, że ono pragnie uśmiechy ślać wszystkiemu, co żyje...

Daleko pozostało miasto z jego ogłuszającym hałasem codziennego ruchu, z gorączkowym tętnem pracy, z nerwowym rytmem życia. Daleko obwieszczają krzykiem pierwsze strony dzienników porannych burze, grzmiące w wielkich stolicach świata. Gdzieś w dali poza mną zostały wszelkie zgrzyty niepokoju, jęki cierpienia i krzyki rozpacz — zapomniane.

Tutaj nurza się dusza w spokój, jak w chłodnej, czystej, orzeźwiającej wodzie.

Sara Bermanówna (VIIIb).

Wieczory w świetlicy „Osiedla”.

Kolacja skończona. Schodzimy się wszyscy w świetlicy z niecierpliwym oczekiwaniem tego, co też dzisiaj „dadzą”. Te, które właśnie mają „dać”, czyli w tej chwili reżyserowie, biegają po całym gmachu, w gorączkowym pośpiechu, wyszukują dekoracji i kostjumów do dzisiejszego numeru.

— Helu, daj koszulę!... Zosiu, twoja pyjama byłaby dobra dla pafia!... Prędsze! Jeszcze koc (czyt. „królewski płaszcz”) dla króla!... O jej! króla niema! Gdzie jest król!?...

— Króla mam dajcie! — z tym okrzykiem wpada zdenerwowany „reżyser” do świetlicy i „okiem znawcy” patrzy wokoło, szukając nieszczęsnego „króla”, czyli nowej „gwiazdy” (nie takiej z nieba). Drżymy. Kogo wybierze?

— No, naturalnie! Krysiu, na chwileczkę (ładna „chwileczka”!). Przecież ty jesteś urodzony król — rozlega się tuż nad uchem nieszczęśliwej ofiary „reżyserskiego talentu” wielce nieprzyjemny dla niej głos.

— Moja droga, widzisz, że gram w „halmę“ więc, proszę Cię, nie przeszkadzaj! —

Lekko poddenerwowana „halmistka“ robi artystystyczne pchnięcie klockiem naprzód, zapominając o stojącym nad nią „reżyserze“.

— Krysiu, królem jesteś i musisz iść w tej chwili. Boże, jaki brak subordynacji!

Trudno! Niema rady. „Król“, który ma minę najniższego ze swoich poddanych, wychodzi jak skazaniec, szepcząc słowa krwawej zemsty:

— Jutro wezmę cię na królownę.

Och!!! Brz!!! Straszna zemsta.

No i rozpoczynają się nareszcie występy. Historia teatru nie pamięta chyba takich występów, takich „artystycznych“ dekoracyj i „przebogatych“ kostjumów.

Kiedy na estradę wszedł z ładu królewskim majestatem, z groźnym spojrzeniem królewskich oczu król, wlokąc za sobą purpurową koldrę z białą kapą, (chciałam powiedzieć płaszcz obszyty gronostajami), wtedy widzowie...

O, zgrozo! nie powstali ze złości z miejsc, lecz wybuchnęli straszonym, jak grzmot stu armat, śmiechem, a wszyscy królowie w grobach chyba się przewrócili, bynajmniej nie z zachwytu. Okropne nadeszły czasy.

A kiedy na kuchennej miotle, która z wielką powagą udawała rumaka czystej krwi, urodzonego w królewskich stajniach, wjechał paż w bogatym kostjumie (gimnastycznym) wtedy śmiały się już ściany, stoły i ławki, bo widzowie zajęci byli troskliwym wycieraniem z oczu łez, tak z rozczerwienia.

Nie będę opisywała, jak „Śmierć“ zamiast „królownę“ chciała uśmiercić „Los“, gdyż nie mogła znaleźć swojej ofiary.

O, gdyby spojrzenia mogły zabijać, to „Śmierć“ padłaby trupem, albowiem „Los“ był oburzony takim brakiem „dobrego wychowania“.

Śmiech rozbawionej „publiczności“ biegnie w las, odbija się o drzewa i wraca do nas, aby z nową siłą wybuchnąć. A potem, kiedy skończyły się „produkje“ wszystkich „talentów“, nastąpiły śpiewy chóralne, gry i zabawy.

Jest dziwnie miło i ciepło (nie z powodu lato).

Wszystkie dziewczynki są sympatyczne i bardzo drogie, jak siostry. W tej chwili nie jesteśmy klasą, ale raczej rodziną (nie chciałabym przesadzić). Jest coś takiego na tych wieczorach w świetlicy, czego nie umiałabym określić. „Duch“ jakiś dobry, który rozgrzewa serca i łączy je ogniem sympatii.

Za oknami las stoi ciemny, milczący, jakiś straszny; nastrój lasu jest kontrastem do nastroju, jaki panuje wśród nas.

Chociaż kto wie, czy właśnie nie ten las, czy nie bliskość Natury tak nas nastraja?

Sabina Koralczykówna (VII).

Za Redakcję Dr. R. Pachucka.

Wydawca: Gmina Szkoła

Drukarnia Ludowa w Łodzi, al. Piotrkowska 83.

127

37

PR



Treść jednodniówki:

1. Przemówienie, wygłoszone przez przewodniczącą Gminy na uroczystości poświęcenia Osiedla — 1
2. Dzieci z Niemiec w naszym Osiedlu — 2
3. Ósma w Osiedlu — 4
4. Jedna z chwil — 5
5. Z nastrojów leśnych — 6
6. Wieczory w świetlicy Osiedla — 7

Bursa T.B.S.

W

Kwit przychodowy Nr

na sumę zł.

słownie złotych

wpłaconą przez

zam. w

tytułem

Miejscowość..... dnia 194...

Sumę powyższą otrzymał.....

1,50

Pr. Reg.

127

37

WiMBP im. J. Piłsudskiego
w Łodzi



230000009562